

Między Oksfordem a Mordorem

O profesorze Przemysławie Mroczkowskim i jego związkach z Johnem R. R. Tolkienem rozmawiają z dr hab. Katarzyną Mroczkowską-Brand Elżbieta Bińczycka-Gacek, Anita Calek, Barbara Szymczak-Maciejczyk oraz Krzysztof M. Maj

Elżbieta Bińczycka-Gacek: Kiedy porządkując dokumenty ojca – Przemysława Mroczkowskiego – Pani Profesor zorientowała się, że korespondował on z Johnem Ronaldem Reuelem Tolkienem, jaka była Pani reakcja?

Katarzyna Mroczkowska-Brand: O tym, że poznał Tolkiena, że się z nim spotykał w Oxfordzie, że z nim korespondował, wiedziałam od dawna, od zawsze. To, czego nie wiedziałam aż do czasu porządkowania papierów mojego ojca, to fakt, że było tych listów więcej, że zachowało się ich więcej, niż ten jeden krótki, który był i który znałam. To, że fizycznie zachowało się listów sporo, odkryłam dopiero po jego śmierci. Trudno opowiedzieć, w jakim ogólnie jest się stanie emocjonalnym po odejściu kogoś bliskiego, pośród tysiąca pilnych spraw do uregulowania. Dlatego korespondencję odłożyłam na później, tym bardziej, że trudno było rozszyfrowywać pismo, skądinąd przepiękne. Przed decyzją o przekazaniu listów do archiwum Tolkienowskiego przeglądałam je i zorientowałam się, że większość jest bardzo trudna do odczytania. Czasem okazywało się, że tekst nawiązywał do jakiegoś listu, który zaginął. Sporo listów po długim czasie jednak dochodziło, chociaż było widać ewidentną interwencję władz: korespondencję pakowano w folię z informacją, że przesyłka doszła w stanie niedoklejonym. Zawsze wszyscy w rodzinie z tego żartowaliśmy, ojciec chciał „im” nawet zafundować trochę dobrej jakości kleju.

Krzysztof M. Maj: Czy na podstawie zachowanych listów oraz wspomnień może nam Pani Profesor przybliżyć, jak wyglądały relacje Pani ojca z Tolkienem?

Katarzyna Mroczkowska-Brand: Kiedy ojciec przebywał w Oksfordzie i widywał się z Tolkienem, miałam sześć lat. Przebywałam wtedy w szkole z internatem, bo zaproponowano ojcu, by nas, dzieci, umieścił w internacie przyszkolnym ze względu na naukę języka. Wobec tego nie byłam obecna w żadnym z tych momentów, w których się spotykali. Wiem jednak z relacji ojca, że gdy ten pojechał tam po październiku 1957 roku – po okresie stalinowskim, który sam bardzo ciężko przeżył – i gdy pierwszy raz zostali sobie przedstawieni, ojciec podał rękę Tolkienowi, mówiąc: „I come from Mordor”. Tolkien, przyjął to ze zrozumieniem i sympatią, ale dodał coś, co sugerowało, że wolałby, żeby nie ograniczać Mordoru tylko do jednego jego gatunku, że jest wiele miejsc i reżimów, systemów, zasługujących na to miano. A ojciec mówił o Mordorze stalinowskim, konkretnym, tym, który wtedy najbardziej odbił swoje piętno na jego życiu. To nie znaczyło, że koniecznie chciał tylko stalinizm widzieć jako Mordor, nigdy nie zapomniał o Mordorze okupacji niemieckiej, nazistowskim horrorze, był przecież wtedy uwięziony przez Gestapo; po prostu w 1957, w roku spotkania z Tolkienem, miał w najświeższej pamięci swoje przeżycia w czasach reżimu stalinowskiego. W komentarzu Tolkiena po słowach ojca ujawniła się dalekowzroczność pisarza, jego mądrość: przecież nie bez powodu dzisiejsza młodzież mówi o „Mordorach” w korporacjach, w których pracuje i wiemy, że kapitalizm ma też swoją straszłą, „mordorową” stronę, czego Tolkien był świadom. A mój ojciec jak najbardziej podzielał zasadniczo pogląd, że Mordorów jest więcej i że są różne, choćby, na przykład, kolonialne (wiem jak bardzo przeżywał obraz horroru kolonialnego z *Jądra Ciemności* Conrada, jednego z jego ukochanych prozaików). Jest zrozumiałe, że pisarz nie chciał jednak, usłyszawszy nazwę swojego literackiego miejsca, żeby zostało ono powiązane wyłącznie z komunistycznym horrorem. Śródziemie powinno wedle niego być poza naszą rzeczywistością, jednocześnie do niej się odnosząc, ale nie będąc alegorią konkretnego miejsca czy systemu. Ta ich wymiana zdań była początkiem bardzo dobrej relacji pomiędzy nimi, ale opierała się przede wszystkim na wspólnej pasji literackiej, trochę też i filozoficznej.

Anita Catek: Listy, które do siebie pisali, są chyba najlepszym świadectwem kontaktów nawiązanych w Oksfordzie...

Katarzyna Mroczkowska-Brand: W istocie. Z opowieści ojca wynikało, że pojawiła się między nimi nić porozumienia, po czym nastąpiły dalsze kontakty i spotkania, ile – nie wiem. Jeden z listów – ten z odcyfrowanych,

który najbardziej lubię – dotyczył właśnie jakiegoś umówionego terminu na wspólny lunch, będąc równocześnie odpowiedzią na prośbę ojca o jego przesunięcie (to była ich korespondencja wewnątrzoksfordzka). Znając ogromną grzeczność i kurtuazję ojca – który zawsze zwracał uwagę na to, jak coś jest sformułowane i był pod tym względem przedwojennym dżentelmenem w każdym calu – przypuszczam, sądząc także po odpowiedzi Tolkiena, że ojciec musiał go przeproszać za zmianę terminu wspólnego lunchu i zaznaczać, że nie chce robić kłopotu. List Tolkiena rozpoczął się bowiem od tego, że przecież to żaden kłopot, nie ma w ogóle sprawy, jak nie środa, to czwartek i proszę się tak nie usprawiedliwiać, „because we are such unimportant people” („we” dotyczyło Tolkiena i jego żony). Ten list zapamiętałam, bardzo mi się podobał, był właściwie króciusienką, pięknie napisaną notatką. To, że lunch miał być u Tolkiena, w jego domu, to – biorąc pod uwagę, że chodzi o Anglię – jest oznaką bliskich relacji, wedle zasady „My home is my castle”. Tam znajomi potrafią przez dwa lata umawiać się w pubie, zanim zaproszą kogoś do swojego domu. Skoro zatem lunch miał się odbyć u Tolkienów, świadczy to o zażyłości. Wiem jeszcze, że ojciec spotykał się również z Clivem Staplesem Lewisem i grupa Inklings była mu znana. Ich relacje musiały być zatem dobre, bo obie strony ciągle chciały się spotykać, a korespondencja trwała aż do śmierci Tolkiena.

Barbara Szymczak-Maciejczyk: Na ile w listach pisarza do profesora Mroczkowskiego obecny był temat jego własnej twórczości?

Katarzyna Mroczkowska-Brand: Na podstawie listów, które czytałam (przypominam, że nie czytałam wszystkich), mogę stwierdzić, że nie było tam raczej szczegółowych uwag dotyczących jego własnych utworów, wypowiedział się za to ogólnie o literaturze, pisał też o sprawach życiowych. Wiem na przykład, że był pod presją synów, którzy chcieli, by się zgodził na filmowe wersje powieści, a on na to nie wyrażał zgody; mówił o tym zresztą również mój ojciec. Argumentem, który złamał Tolkiena, było stwierdzenie jednego z dorosłych już synów, że środki finansowe są potrzebne na wykształcenie „naszych dzieci, a twoich wnuków” – a wiadomo, że pisarz był szalenie rodzinny. Przypuszczam, że ojciec, po wielu rozmowach z Tolkienem jeszcze w Oksfordzie, mógł już mieć za sobą najbardziej pałacę dla niego pytania o twórczość Tolkiena, może też zauważył, że pisarz woli dyskutować o całej literaturze, jej znaczeniu, funkcjach, uroku i robi to chętniej niż odpowiadanie na pytania tylko o swoje utwory. Ojciec to szanował, bo go w ogóle jednak traktował jak mistrza, z kolei tamten często przypominał, żeby nie podkreślać swojej jakby ‘niższej’ pozycji, „proszę nie tak skromnie”. Myślę, że można tu też mówić o pewnym zderzeniu podejścia

niewiele bardziej demokratyzującego, typowego dla pewnych warstw społecznych Anglii, a tradycji mocniej hierarchicznie różnicującej grupy społeczne w Polsce. Trzeba też pamiętać, że Tolkien (urodzony w 1892) był od mojego ojca (urodzonego w 1915) starszy o całe pokolenie, a dla kogoś wychowywanego w Polsce przedwojennej ogromny szacunek dla starszych – i to mistrzów – był wpajany i praktykowany.

Krzysztof M. Maj: Gdy się spotykali, to jakich kwestii mogły zatem dotyczyć ich rozmowy?

Katarzyna Mroczkowska-Brand: Wiem, że dla ojca szczególnie interesujące były zawsze kwestie fundamentalne: filozoficzne czy literacko-filozoficzne, w związku z czym musiały ich łączyć wspólne zainteresowania, bo przecież z grzeczności nie spotykałby się przez cały rok. Przede wszystkim obaj byli historykami literatury, filologami, pasjonatami literatury dawnej i jej piękna, wielkimi entuzjastami „cudu”, jaki stwarza wyobraźnia literacka. Bardzo prawdopodobne jest też, że mówili o kwestiach wiary, która dla obu była kluczowa (Tolkien mógł ojca fascynować też jako rzadki ‘okaz’ Anglika, Anglik-Katolik. Często Anglicy katolicy należeli do ciekawych i oryginalnych rodzajów osób i osobowości. Musieli być gotowi zarówno bardziej stawiać opór naciskom społecznym wobec nich nieprzyjaznym, jak i, równocześnie, umieć mądrze kwestionować swoją wiarę). W każdym razie, wracając do tych relacji, mogę znowu się domyślić, że obok tematów ważnych poruszane były zapewne jeszcze sprawy praktyczne, które zawsze ojcu leżały na sercu, typu: „jak by zdobyć więcej książek dla uniwersytetu”. Zachował się list mojego ojca z 1947 roku (odnalazła go moja była studentka Joanna Rzepa, obecnie pracująca w Trinity College w Dublinie), w którym prosił on o książki – proszę sobie wyobrazić kogoś, kto wraca z USA po doktoracie do Polski w 1947 roku (dla wszystkich dziwne było, że w ogóle wraca) i prosi akurat o książki. Mój ojciec taki był, że gdzie tylko mógł, prosił: „Tylko przygotujcie mi tam jak najwięcej książek, żeby moi studenci mieli, bo tam są zrujnowane biblioteki, niewiele mają, a z angielskiej literatury prawie nic”; zachowały się też listy z odpowiedziami na jego prośby, czasem pozytywne. Wiele z jego listów dotyczy zatem tego. Tolkiena także prosił, by wesprzeć sprawę zbierania książek dla polskiego uniwersytetu, najpierw był to Katolicki Uniwersytet Lubelski, a potem Uniwersytet Jagielloński; czasem jego prośby dotyczyły też opieki nad jakimś asystentem. W listach Tolkiena przewijała się też wielokrotnie jego troska o ojca, o sytuację w Polsce: pytał, czy mógłby w czymś pomóc. Przepraszam, jeśli mówię za dużo o ojcu, a za mało o ich spotykaniu się, ale ja widziałam relację z Tolkienem przez pryzmat spojrzenia ojca, a poza tym, powtarzam, nie byłam przy tych spotkaniach

obecna, mogę tylko się pewnych rzeczy domyślać, przypominając sobie uwagi ojca, nasze rozmowy. Na ile to pomaga, a na ile przeszkadza – nie wiem, ale na pewno wspólne dla nas obojga, dla mnie i mojego ojca, było ogromne zauroczenie Tolkienowskim światem i trudno mi jest mówić ‘obiektywnie’ czy omijając obręb tego zaczarowania.

Anita Całek: Na ile profesora Mroczkowskiego z Tolkienem mogło połączyć jeszcze jedno wspólne doświadczenie – to znaczy przeżycia wojenne?

Katarzyna Mroczkowska-Brand: Pokolenie Tolkiena i pokolenie mojego ojca, zarówno jedno jak i drugie, otarło się w sposób namacalny o absolutne piekło i horror wojny, dlatego myślę, że to doświadczenie również musiało być tematem wspólnych rozmów. Tolkien przeżył straszne chwile w czasie czynnej służby w I wojnie światowej, a jego synowie – w II wojnie. Z opowiadań ojca wynikało, że mieli z Tolkienem wspólne, bardzo silne przekonania pacyfistyczne.

Anita Całek: Kolejnym wspólnym tematem – dla pisarza-filologa i dla polskiego profesora literatury angielskiej – były chyba właśnie zainteresowania filologiczne. A czy także w wymiarze przekonań byli sobie bliscy?

Katarzyna Mroczkowska-Brand: Tolkiena i ojca łączył zarówno filologiczny *background* (obaj to mediewiści i miłośnicy starych języków), jak i kwestie filozoficzne oraz światopoglądowe. Spotykali się na gruncie wiary i katolicyzmu, co dla ojca było bardzo ważne, bo w końcu wiele lat poświęcił walcząc o anglistykę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i wierzył w *Idea of a University* Johna Henry’ego Newmana (1852), dzieło, które wtedy reprezentowało opór przeciwko „siłom ciemności”¹. Ojciec doceniał to, że Tolkien pochodził z rodziny, która się nawróciła, a matka pisarza zapłaciła za to konkretną życiową cenę: została odcięta od spadku, współudziałów itp. Tolkien dokonał później również osobistego wyboru katolicyzmu. Ojciec bardzo cenił ludzi, którzy potrafili wiele poświęcić dla wierności swoim poglądom. Trzeba pamiętać, że bycie katolikiem w Anglii, zarówno w XVI, jak i w wielu późniejszych wiekach, budziło podejrzania, trochę tak, jak bycie luteraninem w Hiszpanii. To najczęściej interesujące historie: osoby będące w mniejszości religijnej muszą przede wszystkim doprecyzować swoje poglądy. Po pierwsze, muszą się zastanowić, dlaczego nie płyną z falą jak wszyscy, przemyśleć swoją wiarę i przekonania teologiczne, podnosząc je tym sa-

¹ Książka ta zresztą ukazała się w Polsce po raz pierwszy właśnie w tłumaczeniu Przemysława Mroczkowskiego. Por. John Henry Newman, *Idea uniwersytetu*, przekł. Przemysław Mroczkowski, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy 1990 (przyp. red.).

mym na nieco wyższy poziom; po drugie, są świadomi pewnych konsekwencji, że to ich „bycie inaczej” może kosztować. Muszą przez to odbyć ze sobą samym i środowiskiem ich otaczającym jakiś rodzaj rozrachunku, co często świadczy o ich raczej wyjątkowej postawie moralnej, a nie tej typu „tak będzie łatwiej”. Ojca fascynowały takie losy, dlatego nazwał mojego brata Tomaszem, ale po Tomaszu Morusie (Thomasie More – przyp. red.), który był dla niego bohaterem właśnie jako ten, który się przeciwstawił². Dopiero niedawno zniesiono w Anglii ustawę, zgodnie z którą następcą tronu królewskiego nie może się ożenić z katoliczką. To wszystko wydaje nam się teraz tak odległe i anachroniczne wobec wszechobecnego pluralizmu, ale nie dajmy się zwieść, to jest tylko jeden z wizerunków Anglii. Myślę, że zakochanie ojca w literaturze było równe jego zakochaniu w wierze – bo to nie była tylko wiara. Uważał, że to, iż człowiek ryzykuje, robi jakiś skok wyobraźniowy wbrew niektórym zasadom racjonalności, ma w sobie coś z wyobraźni literackiej. Takie przeskakiwanie do innego świata. Tu znowu mógł spotykać się i z Tolkienem, i z Lewisem. Tolkien miał jednak angielski styl bycia: absolutnie bez afiszowania się wiarą (która była głęboka). Tolkienowskie sugestie filozoficzno-metafizyczne są zawsze na granicy domysłu, niedomówienia. Ale na podstawie fragmentów przeczytanych listów sądzę, że ojca rozmowy musiały dotyczyć także tych spraw.

Elżbieta Bińczycka-Gacek: A jakie są Pani pierwsze wspomnienia związane z Tolkienem i jego twórczością?

Katarzyna Mroczkowska-Brand: Wspomnieniem, które najmocniej utkwiło mi w pamięci, był ojciec czytający nam lektury... i tego nie zapomnę do końca życia, dlatego nie potrafię czytać żadnej innej fantastyki, jak tylko Tolkienowską; robię czasami wyjątek dla Terry’ego Pratchetta z powodu humoru i dla Ursuli K. Le Guin ze względu na walory literackie i językowe jej prozy. Ojciec czytał nam oczywiście *Hobbita* i *Władcę Pierścieni*, a robił to tak przepięknie, że lektura ta zaczarowała mi duszę i umysł już na zawsze, bo składała się na to i jakość Tolkienowskiego pisania, i dar aktorsko-filologiczno-wykładowczy ojca, który przelewał w ten tekst. Zresztą uwielbiał grać, śpiewał też fantastycznie, i ten głos... to była jedna z nici, która na pewno łączyła Tolkiena i ojca. Oba byli głęboko przekonani o tym, że warstwa fonetyczno-muzyczna w literaturze jest bardzo ważna. Tolkien wchodził na własne wykłady, recytując sagi islandzkie, by od początku wprowadzić w klimat, dać słuchaczom kontakt z „melodią” tego, o czym będzie mówił. Połączenie głębokich treści filozoficznych, piękna słowa i jego muzyki było

² Thomas More, najbardziej znany jako autor *De optimo reipublicae*, uznawanego za tekst założycielski gątku utopii literackiej, skazany został na dekapitację w lipcu 1535 za odmowę złożenia przysięgi supremacji królowi Henrykowi VIII po tym, gdy ten kazal uznać się głową kościoła anglikańskiego (przyp. red.).

czymś, co musiało ich łączyć, podobnie jak i oczywiście to, że byli profesorami – filologami, miłośnikami średniowiecznej literatury, wobec czego także i wszelkiej starej epiki melorecytowanej.

Barbara Szymczak-Maciejczyk: Profesor Mroczkowski czytał dzieła Tolkiena po polsku czy w oryginale?

Katarzyna Mroczkowska-Brand: Czytał oczywiście po angielsku, absolutnie. Skorzystał z tego, że byliśmy po angielskiej szkole i zaczął nam czytać w oryginale. Co nie znaczy, że był przeciwny czytaniu literatury w przekładach, tylko wiedział, że znamy angielski i wierzył w oddziaływanie „muzyki” oryginalnego tekstu... To, jak on naśladował Golluma, mówiąc *My preciouss...*, tak potwornie sycząc – dotąd pamiętam, jak zaczynałam się cała trząść. Zawsze zawiesział głos w najciekawszym momencie, jak coś sensacyjnego, niebezpiecznego się zbliżało, na przykład Czarni Jeźdźcy... i mówił: „Reszta jutro, teraz dzieci śpią, reszta jutro”. To jak człowiek nie miał połknąć haczyka pasji literackiej? Oczywiście nie chodziło wyłącznie o to, że rozumieliśmy powieści Tolkiena i lubiliśmy, jak tata je pięknie czytał; przecież to jednak są utwory sensacyjno-przygodowe, więc dziecko naprawdę chce wiedzieć, co się tam dalej wydarzy.

Krzysztof M. Maj: Zatem w rozmowach i rodzinnej recepcji Tolkiena dominowały raczej klasyczne fabuły (*Hobbit, Władca Pierścieni*), czy też może w pewnym momencie wprowadzony został *Silmarillion*?

Katarzyna Mroczkowska-Brand: *Silmarillion* pojawił się, ale później i nie w formie lektury, nigdy nie był nam czytany. Zresztą temu się akurat nie dziwię: gdy przedstawiam studentom fragmenty na wykładach, żeby pokazać pewne analogie komparatystyczne, przekonuję się, że to nie jest rzecz łatwa do głośnego czytania. Pamiętam natomiast, że moja mama zachwycała się *Silmarillionem* i nawet przez chwilę się zastanawiała, czy nie zrobić drugiego polskiego przekładu tego tekstu. *Silmarillion* ją po prostu oczarował, natomiast ojciec o nim mówił stosunkowo mało.

Barbara Szymczak-Maciejczyk: Co w takim razie profesor Mroczkowski sądził o C. S. Lewisie i Narni? Lewis nie był przecież katolikiem, więc mogli się też ze sobą o to spierać.

Katarzyna Mroczkowska-Brand: Ojciec czytał nam także Lewisa, którego kochał nie tylko za Narnię (za to kochaliśmy go my jako dzieci). Tata kochał w Narni głównie to, że Aslan jest tak bardzo chrystologiczny. Lewis, nie będąc katolikiem, angażował się w chrześcijaństwo jako osoba głęboko wierząca, ale potem przeżył kryzys wiary. *Listy starego diabła do młodego*

rzuciły ojca na kolana i były jego ulubionym utworem. Narnię kochał bardzo, ale chyba nie bardziej od Tolkiena. Lewisa natomiast cenił jako głęboko myślącego chrześcijanina i kogoś, kto ciągle podnosi poziom refleksji na temat wiary. Jednak w kontekście literatury Narnię uważał za genialny utwór dla dzieci i młodzieży, podczas gdy Tolkiena już nie. Oczywiście sądził, że jego powieści również można i należy czytać dzieciom, ale autora *Władcy Pierścieni* uważał za twórcę Literatury przez wielkie „L”. Sprawa kryzysu wiary Lewisa zainteresowała mnie dopiero później, dlatego nie zdążyłam już o tym z ojcem porozmawiać. Pamiętam, jaki był smutny i równocześnie absolutnie wyrozumiały, że tego płomyczka wiary nie dało się już przenieść dalej przez doświadczenie takiego cierpienia, jakie było udziałem Lewisa, gdy był świadkiem męczarni, jakie przechodziła jego żona, umierając na raka w takim bólu, na który nie pomagała już morfina.

Anita Całek: Uderzające jest przekonanie profesora Mroczkowskiego o wartości utworów Tolkiena w czasach, gdy w ówczesnej literaturze nie ceniono tego typu prozy, gdyż uważano, iż ma ona przede wszystkim adresata dziecięcego. Profesor Mroczkowski, pisząc w Polsce o Tolkienie, musiał zdecydować się z niezrozumieniem i sporo zaryzykować.

Katarzyna Mroczkowska-Brand: Ojciec nigdy nie bał się proponować czegoś, co uważał za wartościowe, piękne, niezależnie od tego, co myśli większość. Taka była jego postawa nie tylko w kwestiach literatury. Było w nim coś z Don Kichota, który najpierw myśli, czy coś jest dobre i ważne, a potem, czy się to spodoba innym. Oczywiście jak każdy człowiek: gdy spotykał się z krytyką czy złośliwościami, to cierpiał, ale to i tak nie zmieniało jego zdania: następnym razem znowu proponował kogoś, kogo uważał za dobrego. Ojciec przede wszystkim był historykiem literatury, zawsze niesłuchanie czytany, ale najlepiej znał kanon literatury europejskiej dawnej, klasycznej, średniowiecznej, renesansowej, a literatura współczesna mniej mu była znana i nie przepadał za nią. Pamiętam, że ze współczesnych sobie pisarzy polskich na przykład czytał i lubił Hannę Malewską, Jana Józefa Szczepańskiego, Antoniego Gołubiewa, Jerzego Andrzejewskiego, ale modnej współczesnej literatury nie cenił, może trochę jej nie rozumiał, zostawiała go obojętnym lub smuciła dekonstrukcją świata wartości, w które jeszcze wierzył. Wracając do tego, czy mówił o Tolkienie przed falą jego niesłuchanej popularności w Polsce: on często mówił o tym, co było niemodne, tak jak mówił ciągle o średniowieczu, które niekoniecznie było modne, a raczej zwłaszcza wtedy przedstawiane jako zacofane, ciemne i obrzydliwe. I to była jedna z nieustających ironicznym uwag taty: „no jak to w ciemnym średniowieczu było?” – i tutaj sypał z rękawa jego kolorami,

różnorodnością. Dlatego mówił i pisał tyle o Chaucerze: dowcipnym i ironicznym, uszczypliwym i kolorowym. I jeżeli ktoś taki odkrył Tolkiena, to niezależnie od konsekwencji mówił, że twórczość profesora z Oksfordu jest przepiękna, mądra i wartościowa. Ojciec chwalił Tolkiena, bo był w stanie pokazać, dlaczego uważa go za wielkiego, co wydaje się dziś oczywistością, bo teraz *fantasy* jest modne na tysiąc sposobów, a przecież wówczas wcale tak nie było.

Krzysztof M. Maj: W jaki sposób były więc wtedy odbierane dzieła Tolkiena: jako coś genologicznie odrębnego? Osobny gatunek? Rodząca się właśnie literatura *fantasy*? A może raczej jako tekst należący po prostu do literatury?

Katarzyna Mroczkowska-Brand: Przede wszystkim właśnie tak: jako tekst należący po prostu do literatury. Ojciec odbierał utwory Tolkiena jako oczywiście wchodzące do kanonu literatury europejskiej, światowej, z całym jej bogactwem humanizmu, piękna, mądrości. Widział w tych powieściach wspaniałą literaturę, która jest odpryskiem baśni, tworzeniem współczesnego wariantu starych mitów, odpowiedzią na dwudziestowieczną ewolucję powieści i europejskiej kultury w ogóle, w takim punkcie, w jakim znajdowała się w połowie XX wieku, ale też poza czasem i tak, jak chciał ją stworzyć autor *Hobbita*. Ojciec nigdy nie zwątpił w Tolkiena i nie zamierzał rezygnować z popularyzowania jego twórczości w Polsce, nie miał żadnych wątpliwości, że to jest wielka literatura. To, że wtedy nie było to modne, uważał za nieistotne. Czy sądził, że jest to twórczość genologicznie odrębna? Nie jestem pewna, sądzę, że raczej byłby skłonny widzieć te książki jako swego rodzaju neo-epikę. Ale też pamiętam bardzo dobrze, że dylematy teoretyczno-literackie, w tym genologiczne, nigdy ojca nie fascynowały. Uważał, że stosowanie reguł teorii literatury, genologii, bywa niezbędne jak narzędzia, którymi się posługujemy, ale wchodzenie w definiowanie tych narzędzi dla samego definiowania raczej go nie interesowało, nie miał duszy teoretyka. Można, sądzę, powiedzieć, że odważne było mówić, że Tolkien jest cudowny, gdy wszyscy pisali o śmierci literatury czy kultury. Ale ojciec sam nie wierzył w śmierć literatury czy kultury, choć sądził, że jest mocno zagrożona, i wiedząc, że nie wierzy w taką śmierć autor *Władcy Pierścieni*, widział Tolkiena jako dowód na to, że ani literatura, ani kultura jeszcze nie umarły.

Elżbieta Bińczycka-Gacek, Anita Całek, Barbara Szymczak-Maciejczyk, Krzysztof M. Maj: Bardzo dziękujemy Pani Profesor za rozmowę.